Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

JEDNOTA

ORGAN POLSKIEGO KOŚCIOŁA EWANGELICKO-REFORMOWANEGO

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK II WARSZAWA, KWIECIEŃ 1927 R. Nr 4

REDAKTOR: **Ks. St. SKIERSKI**
Adres Redakcji:
WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 3.

WYDAWCA:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO - REFORMOWANEJ
ADRES ADMINISTRACJI — LESZNO 20.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł 12; półrocznie zł 6; kwartalnie zł 3. Pojedyńczy numer zł 1.50.

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-tej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423.

TREŚĆ NUMERU:

1. —*S*— Z Chrystusem umarli — z Chrystusem żywi 57
2. *K. Tosio.* Z powodu Uchwały Synodu Kościoła Unijnego w Poznaniu w sprawie Ugody Wileńskiej 59
3. *Elżbieta Hulkówna.* Z Francji wierzącej (korespondencja własna) . . 61
4. *Leon Rygier.* Doznania religijne w najnowszej literaturze polskiej, d. c. 64
5. *Prof. Karol Serini.* Religja i kultura współczesna, d. c. (Mistyka) . . . 67
6. *T. Gruda.* Trzy dokumenty chwili 68
7. —*S*— Wiadomości z Kościoła i o Kościele 69
8. Od Administracji, wykaz nabożeństw 72

ROK II WARSZAWA, KWIECIEŃ 1927 R. Nr 4

Redaktor: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr 20 m. 3.

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

Z CHRYSTUSEM UMARLI — Z CHRYSTUSEM ŻYWI.

Rzym 6₈: „Jeśliśmy tedy z Chrystusem umarli, wierzymy, że też z nim razem żyć będziemy".

PRZED KILKOMA dniami obchodziliśmy z całym światem chrześcijańskim Wielkanoc. To, co Święto to światu całemu głosi, fundamentem jest chrześcijaństwa i wiary chrześcijańskiej. Bez Wielkanocy nie byłoby Kościoła chrześcijańskiego, próżną była by wiara nasza.

Jakże jednak różne wrażenie wywiera na ludzi wieść Wielkanocna! W Ewangeljach znajdziemy pod tym względem wszystkie odcienia uczuć, poczynając od zupełnej niewiary — aż do najradośniejszego przeświadczenia w wierze — zupełnie tak samo jak dzisiaj. Nie znajdziemy tam tylko tego tak często, niestety, dzisiaj spotykanego uczucia pewnego zakłopotania, powodowanego tem, że niejeden dzisiejszy chrześcijanin nie wie doprawdy, co sobie ma począć z tym faktem, jak go rozumieć i jak go w osobistem swem życiu duchowem i religijnem zużyć i wykorzystać? Jest to zupełnie naturalne zakłopotanie, bowiem owocnem dla nas i odradzającem nas staje się zmartwychwstanie Chrystusa Pana dopiero wówczas, gdy już nie jako obojętni widzowie stać będziemy u grobu jego, ale wraz z Apostołem Pawłem zawołać będziemy mogli: „jeśliśmy tedy z Chrystusem umarli, wierzymy, że też z nim żyć będziemy"!

„A gdy Jezus skosztował octu, rzekł: wykonało się, a nachyliwszy głowę oddał ducha"! Umarł cichy męczennik na krzyżu! Garstka wiernych jego złożyła ciało jego do grobu. Wierne przywiązanie i miłość, mocniejsza od śmierci, przygotowały mu ciche łoże spoczynku w ciasnej komorze, w twardej wykutej skale. Tam wielki męczennik odpocząć ma po ciężkiej walce i znoju. Walka skończona — a skończyła się ona porażką, razem bowiem z ciałem jego złożono do grobu wszystkie cudne nadzieje tych, którzy mniemali, że On ludzkość miał zbawić. Co do grobu złożonem zostało, w grobie pozostać przecież musi! Litość i współczucie dla onego czystego i wielkiego męża boleści odczuwają dzisiaj miljony tak zwanych chrześcijan. Zasłużył on sobie na lepszy los, tak o nim sądzą, ale na kierunek ich życia, na ich postępowanie, na ich stan duszy uczucia te nie wywierają najmniejszego wpływu. Po za to uczucie przelotne nie sięga bynajmniej ich rozumienie tego, co się w Wielki Piątek na Golgocie stało!

I nie może być inaczej! Zrozumienie śmierci Chrystusa dać nam może tylko jedno przeżycie duchowe, które się przez moc i działanie Ducha Bożego dzieje. Słowo Boże, przez czas długi

nie oddziaływujące na nas, musi się w nas stać żywem, musi nam oczy otworzyć, abyśmy poznali wielkość grzechu naszego, który jest nieprzyjaźnią względem Boga, musi nam dać zrozumienie świętości i sprawiedliwości Boga naszego, który żądać musi kary i przebłagania za przestępstwa nasze, przebłagania, którego my spełnić, i kary, której my sami znieść nie jesteśmy i nigdy nie będziemy w stanie. Wtedy dopiero gotowi będziemy przyjąć słowo o Jezusie: „oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata", wtedy dopiero przyjmiemy i obietnicę Bożą, że On miłosierny zatroszczy się sam o nas i uczyni to, czegośmy my uczynić nigdy nie mogli, wtedy wierzymy słowu, że Bóg włożył nieprawość naszą nań i uczynił go za nas grzechem, abyśmy my byli sprawiedliwością przed Bogiem w Nim. O jakże inaczej stoimy teraz przed onym cichym grobem w ogrodzie Józefa z Arymatji! Jakże wyraźnie widnieją nad grobem tym słowa „za was".

Teraz pojmujemy, że nasze to grzechy zadały Zbawicielowi naszemu śmierć, nasze przestepstwa są temi chustami, któremi go owinięto, nasza niewierność i brak miłości — to ten twardy kamień, na którym zbolała głowa jego spoczywa, nasza niewiara — to ten głaz wielki, zamykający wejście do grobu. Za nas On cierpiał — i my teraz cierpimy, przywodząc sobie na pamięć winę naszą i przestępstwo. Za nas On umarł, a przeto i my ostatni teraz krok czynimy na drodze wiary — nasze miejsce nie jest tu na zewnątrz grobu — ale tam, w grobie samym. Tam padamy u nóg jego, głosząc nad sobą wyrok śmierci. Jego grób staje się naszym grobem, jego śmierć — naszą śmiercią! Umarliśmy z Chrystusem!

Ciemność grobu i śmierci otacza nas i Pana naszego. Ale ciemność ta nie może i nie będzie trwać długo. Światło Wielkanocne wschodzi nad grobem, walczy z ciemnością wytrwale i zwycięsko. Wreszcie i słońce wschodzi i ukazuje się w całej swej krasie. Ziemia drży, Anioł Pański się ukazuje, kamień grobowy się wali — grób jest otwarty!

Jasnemi promieniami wpada światło słońca tam, gdzie śmierć dotychczas panowała, ale jeszcze jaśniej świeci łaska Boża, która teraz nad Ukrzyżowanym i nad całym światem wschodzi. Grzech świata został odkupiony, gniew Boży przebłagany. I cóż by tu Zbawiciel czynić miał jeszcze w grobie? Dzieło, dla spełnienia którego posłany był na świat, dokonanem zostało. Powstaje więc z grobu, kruszy okowy śmierci i całun swój śmiertelny z siebie zrywa. Wolny od wszystkiego ziemskiego, w przemienionem ciele wychodzi z grobu!

Wszakże nie tylko on sam! „Jeśliśmy z Chrystusem umarli, wierzymy, że też z nim żyć będziemy"! Cóż jeszcze w grobie pozostawać mamy, gdy Chrystus Pan nasz zmartwychwstał? Słońce łaski świeci znowu i to nad nami też grzesznymi. Z grobu śmierci wychodzimy i my z żyjącym Chrystusem jako nowe stworzenia. Tam w grobie pozostawiamy onego starego Adama z jego grzechem i winą, w grobie zostają wszystek lęk i trwoga przed sprawiedliwym sądem Bożym. Tam w grobie pozostać one mają na zawsze! Ja wierzę, ja ufam łasce Bożej w Chrystusie — to jest ten głaz, którym wejście do grobu znowu za sobą zamykamy, a zmartwychwstanie Syna człowieczego — to pieczęć Boża na tym głazie!

I nowe życie rozpoczyna się dla tych, którzy z Chrystusem z grobu powstali, życie, w którem służymy Chrystusowi w prawdziwej sprawiedliwości i świętości! Prawda, że myśląc o tem zadrży nieraz stare serce w nas, prawda, że burzy się i broni stary człowiek w nas, nasze grzeszne ja przed taką odmianą. Drży on ze strachu przed więzieniem grobu, na które jest skazany. Wciąż więc i wciąż kusi on nas i pobudza do grzechu: Ale on nowy człowiek staje się coraz silniejszym w nas. Mówi on: miałżebym żyć tylko dla siebie samego, gdy Pan mój nie tylko na świat przyszedł i żył tu na ziemi, ale i umarł za mnie? Miałżebym miłować świat i marności jego, ten świat, który dla Zbawcy mego nie miał innego słowa nad ono straszne „ukrzyżuj go"? Miałżebym grzechowi być posłusznym i jemu służyć? Nie daj tego Boże!

A gdyby nas ten grzech stary miał kiedy zwieść, wówczas przywiedźmy go przed krzyż Chrystusa i grób jego. A tam w żalu i pokorze rzućmy go pod krzyż Chrystusów — tam niech zczeznie! Z piersi naszej niech się gromko ozwie gorące postanowienie i wyznanie: Panie Jezu, twoją jestem własnością, tobie żyć pragnę i umierać!

Przyjacielu! Jestże to serca twego szczere wyznanie i rzetelne postanowienie? Jeśli tak, o wtedy zaiste i ty powstałeś z Chrystusem do nowego błogosławionego żywota dziatatek Bożych! Ciesz się i raduj: dzwony Wielkanocne, śpiewające światu radosne Alleluja, wydzwoniły i tobie twoje własne zmartwychwstanie! —S—

Z powodu Uchwały Synodu Kościoła Unijnego w Poznaniu w sprawie Ugody Wileńskiej.

Zwiastun Ewangelicki, omawiając w Nr 11-ym z r. b. wnioski Komisji Kościoła Unijnego, która Synodowi tegoż Kościoła zaproponowała powzięcie Uchwały o przystąpieniu do Ugody Wileńskiej, wypowiada się co do punktu 3-go tych wniosków w sposób następujący:

„Punkt 3-ci jest o tyle niesłuszny, że z dążeń pewnej poszczególnej grupy, która nie należała wcale do promotorów Ugody, nie można czynić zarzutu wobec całego obozu i wobec organizatorów, którzy z tem dążeniem nie mieli nic wspólnego. I znów delegaci Wileńscy mieli wdzięczne i łatwe zadanie przekonać swoich rodaków, że stronnictwo polskie uznało bez wielkich targów polityczne i psychologiczne argumenty Poznania przeciwko owemu gorszącemu go par. 4-mu projektu warszawskiego".

Sam zaś punkt 3-ci wniosku brzmi: „Wstępne przygotowania Zjednoczenia ewangelickiego zawierały wyraźne dążenia pewnych sfer do supremacji wobec zrzeszonych Kościołów za pomocą biura prezydjalnego, które miało się składać wyłącznie z członków Kościołów, mających swą siedzibę w Warszawie" (patrz par. 4-ty warszawskiego projektu statutu).

Tak z powodu wzmiankowanego punktu 3-go wniosków Komisji, jak i z powodu przytoczonego tu omówienia tego punktu przez Szanowną Redakcję Zwiastuna poczuwam się do obowiązku w imieniu owej grupy, która jakoby nie należała wcale do promotorów Ugody, złożyć na tem miejscu pewne wyjaśnienia, mogące sprostować pogląd Szanownych Wnioskodawców co do dążenia pewnych sfer do supremacji wobec zrzeszonych Kościołów za pomocą biura prezydjalnego, które miało składać się wyłącznie z członków Kościołów, mających swą siedzibę w Warszawie,—a, być może sprostować zarazem i opinję Redakcji Zwiastuna o charakterze i udziale wzmiankowanej grupy osób w tej sprawie.

Grupę tę stanowili delegaci Synodu Ewangelicko-Reformowanego w Rzeczypospolitej Polskiej do Oddziału „Polska" — Wszechświatowego Związku przyjaznej współpracy Kościołów, a mianowicie: Ks. Superintendent Wł. Semadeni, Radca Konsystorza Ew.-Ref. Ks. St. Skierski i Prezes tegoż Konsystorza p. K. Tosio.

Inkryminowany i gorszący wnioskodawców par. 4-ty pierwotnie projektowanego przez powyższą delegację projektu, dosłownie brzmi, jak następuje:

„W skład Rady wchodzą przedstawiciele wszystkich wyznań i organizacyj kościelnych ewangelickich, obecnie na terenie Państwa Polskiego istniejących, — po 2-ch z każdego wyznania i z każdej organizacji, przyczem jeden przedstawiciel powołany zostanie ze stanu duchownego, drugi zaś ze stanu świeckiego. Przedstawiciele ci powołani być mają z grona delegatów Oddziału Krajowego, lub z po za niego, — jako mężowie zaufania. Prócz tego z urzędu, jako stali członkowie Rady, wchodzą do niej najwyżsi reprezentanci duchowieństwa i organizacyj kościelnych obu wyznań ewangelickich: ewangelicko-augsburskiego i ewangelicko reformowanego".

Ponieważ w danym wypadku wchodzą tu w grę względy wyznaniowe, ustrojowe i narodowościowe, więc zasadniczym warunkiem przyszłego współżycia w łonie projektowanej Rady Międzywyznaniowej powinno być równouprawnienie wszystkich czynników Radę tę tworzących w trzech wyżej wskazanych kierunkach. Gdyby więc w projekcie delegacji warszawskiej nie zrobiono zastrzeżenia co do konieczności powołania owych 4-ch stałych członków, to Kościół unijny i żywioł niemiecki byłby w Radzie tej reprezentowany przez 10-ciu, Kościoły zaś ewangelicko - augsburski i ewangelicko - reformowany i element polski — tylko przez 6-iu członków. To byłoby jaskrawą i niedopuszczalną niesprawiedliwością i warunkiem niemożliwym do przyjęcia. Jakże więc można twierdzić, że taka właśnie propozycja podziału mandatów była wyraźnem dążeniem pewnych sfer do supremacji wobec zrzeszonych Kościołów? Czy postawienie takiego właśnie żądania nie zapobiegało raczej wyraźnej supremacji ze strony przeciwnej?

Zarzutowi podobnemu nie może też podlegać również i par. 10 projektu warszawskiego, gdzie między innemi powiedziano: „Organami wykonawczemi decyzyj i uchwał, powziętych na posiedzeniach Rady, będą najwyżsi przedstawiciele Kościoła i organizacyj kościelnych, w stolicy Państwa urzędujący", — gdyż organu wykonawczego nie można identyfikować z biurem prezydjalnem.

Tu też wziąć pod uwagę należy, że omawiany przez Komisję projekt nasz przesłany był wszystkim stronom zainteresowanym przed 1-ym maja 1926 r., gdy Kościół ewangelicko-reformowany Wileński nie był jeszcze członkiem krajowego Oddziału „Polska", gdzie sprawa powyższa po raz pierwszy postawiona została na porządku dziennym w dniu 10.III.1926 przez delegację warszawską. Późniejszy zwrot w tej sprawie, bardzo dla niej pożądany i w skutkach swych błogosławiony, to jest wejście w skład Oddziału „Polska" Wileńskiego Kościoła reformowanego, jako jednostki samodzielnej, zmieniło z gruntu całą sytuację—i dlatego to propozycja innego podziału mandatów, wysunięta przez kontrprojekt Kościoła Unijnego (Haenisch-Nehring), była przez naszą delegację warszawską przyjęta skwapliwie. Daliśmy temu wyraz, przesyłając do Leszna, gdzie w dniach 14 — 16 września r. 1926 odbyła się konferencja duchownych ewangelicko-reformowa-

nych Kościoła Unijnego i reformowanego z byłej Kongresówki, zestawienie odpowiadających sobie paragrafów obu projektów, z wyraźnem zaznaczeniem, że zestawienie to wykazuje możność wzajemnego uzgodnienia tych projektów przy bliższem rozważeniu i uzasadnieniu niektórych rozbieżności.

Wszystkie materjały, tyczące się naszego projektu i projektu Kościoła Unijnego, zostały przez nas przesłane również Kolegjum Kościelnemu Warszawskiego Zboru ewangelicko-augsburskiego, które przed Zjazdem Wileńskim opracowywało swój własny projekt. Gdy zaś przed samym zjazdem delegacja nasza miała sposobność zaznajomienia się z projektem Kolegjum Kościelnego Warszawskiego, uznaliśmy za wskazane wysłać do Prezydjum Zjazdu Wileńskiego pismo następujące:

Do Prezydjum Zjazdu Ewangelickiego w Wilnie.

Występując przed forum Oddziału „Polska" Wszechświatowego Związku krzewienia przyjaźni między narodami przez Kościoły, z projektem utworzenia w łonie Kościołów ewangelickich w Polsce organizacji, która wzięłaby sobie za zadanie wzajemne zbliżenie wszystkich grup wyznaniowych tego Oddziału, dla osiągnięcia celów przez Związek wytkniętych i czyniąc krok ten jako grupa najmniej liczna, więc z natury rzeczy najmniej wpływowa — pragnęliśmy jedynie, by te grupy, których głos w tych zamierzeniach decydującym okazać się może, pobudzić do zajęcia zdecydowanego stanowiska w tej, tak ważnej dla całego ewangelicyzmu polskiego sprawie, by ruszyła się ona nareszcie z tego martwego punktu, na jakim od całego szeregu lat stoi. To też, gdy powierzone nam zostało opracowanie projektu statutu dla organizacji pod nazwą „Ewangelicka Rada Międzywyznaniowa", nie zawahaliśmy się przyjąć tego mandatu, w tem przeświadczeniu, że praca ta stać się może punktem wyjścia do akcji o wiele szerszej i donioślejszej, która rozegrać się musi między czynnikami miarodajnemi, najwięcej sprawą tą zainteresowanemi, to jest między przedstawicielami Kościoła ewangelicko-augsburskiego w Państwie Polskiem i przedstawicielami Kościoła unijnego w byłym zaborze pruskim, ściślej zaś mówiąc, między polskim i niemieckim odłamami Kościoła ewangelickiego w Polsce.

Przeświadczenie to okazało się zupełnie uzasadnione; zaledwie bowiem w terminie wyznaczonym projekt nasz zakomunikowany został wszystkim pozostałym grupom ewangelickim, w Związku reprezentowanym, oraz przedstawicielom Kościoła reformowanego Synodu Wileńskiego, rozpoczęła się w całej prasie żywa wymiana myśli na temat konieczności ściślejszego zbliżenia się całego ewangelicyzmu krajowego, a nawet, co uważamy za moment najwięcej doniosły w całej dotychczasowej akcji, zmierzającej do urzeczywistnienia tego zbliżenia, jedna z najliczniejszych grup ewangelickich odłamu niemieckiego, Poznański Kościół unijny, wystąpił z kontrprojektem, a tem samem rzucił pewnego rodzaju pomost ku szerszemu ujęciu sprawy i ku wypowiedzeniu się drugiej miarodajnej grupy ewangelicyzmu polskiego. To właśnie w chwili ostatniej urzeczywistniło się przez wniesienie ze strony przedstawicieli stołecznego Zboru ewangelicko-augsburskiego projektu, reasumującego niejako nasze i Kościoła unijnego na sprawę tę poglądy.

Te więc dwa projekty, zdaniem naszem, winny być wzięte za punkt wyjścia przy omawianiu tej nader ważnej i w swych następstwach ba dzo doniosłej sprawy. Wobec tego, uważając zadanie, jakie sobie założyliśmy, podjąwszy się opracowania projektu Statutu dla Ewangelickiej Rady Międzywyznaniowej, za spełnione, wcale nie obstajemy przy tem, by nasz projekt miał być wzięty pod dyskusję, uważając szczegóły tego projektu za drobiazg, wobec osiągnięcia celu głównego, jaki mieliśmy na względzie, podejmując się tej pracy.

Natomiast zasadnicze podstawy naszego projektu, które pozyskały jednomyślną aprobatę Synodu naszego, a więc obowiązują nas bezwzględnie, podajemy do wiadomości Dostojnego Zgromadzenia Ewangelików w Wilnie, załączając przy niniejszym odpis uchwały odnośnej naszego Synodu ewang.-reformow. z dnia 14 czerwca r. b.

Uchwała Nr 8.

„Synod Kościoła Ewangelicko-Reformowanego Rzeczypospolitej Polskiej, po wysłuchaniu na posiedzeniu swem w d. 15 czerwca 1926 r. sprawozdania Konsystorza w sprawie działalności delegatów Kościoła ewang.-reformowanego na terenie współpracy z Oddziałem „Polska" Wszechświatowego Związku krzewienia przyjaźni między narodami przez Kościoły, sprawozdanie to przyjmuje do wiadomości i uznaje współpracę tę w jej formie i treści za odpowiadającą celowi. Nadto Synod główne podstawowe zasady projektu statutu Rady, mianowicie:

1) bezwzględne równouprawnienie wszystkich istniejących ewangelickich organizacyj Kościelnych i wyznaniowej ich odrębności,
2) zupełną lojalność do Państwa,
3) szczere i bez wszelkich zastrzeżeń uznanie wytworzonego przez wojnę status quo na terenie Państwa Polskiego,
4) zrozumienie potrzeb całego ewangelicyzmu, nie zaś poszczególnych jego odłamów narodowościowych, —

aprobuje. — st. m. Warszawa, d. 28 lutego 1927 roku.

Za zgodność:
Sekretarz Kancelarji
(—) *St. Bretsch*

Z treści uchwały tej staje się widocznem, że usunięcie reprezentanta Kościoła ewang.-reformonego z grona stałych członków Rady, z Wydziału Wykonawczego i Biura Prezydjalnego (par. par. 4, 6 i 15 projektu Kolegjum Kościelnego Zboru ewang.-augsburskiego w Warszawie) Kościoła, którego egzystencja w Polsce sięga początków Reformacji, który ma pełną chwały i stałości tradycję zgodnej pracy ewangelicznej na niwie Kościelnej, obok wierności dla podstawowych zasad swego wyznania, a wśród wszechświatowego ewangelicyzmu tak wybitne miejsce zajmuje, — uniemożebniłoby nam przyjęcie projektu,

któryby zasadę równouprawnienia reprezentacyjnego Kościoła ewangelicko-reformowanego, jako takiego, nie uwzględnił. To samo odnosi się do silnie zaakcentowanego w naszym projekcie obowiązku bezwzględnej lojalności wobec Państwa, co bynajmniej nie wyklucza energicznej obrony praw Konstytucją Państwa zabezpieczonych i równomiernego, bez majoryzowania strony przeciwnej, rozdziału mandatów pomiędzy przedstawicieli obu narodowości — polskiej i niemieckiej. Warszawa, d. 8.XI.26. Podpisali: Członkowie Delegacji Synodalnej Kościoła Ewang.-Reformowanego do Oddziału „Polska" — Prezes Konsystorza: (—) *K. Tosio.* Ks. Superintedent: (—) *Wł. Semadeni.* Ks. Radca: (—) *St. Skierski.*

O piśmie powyższem nie znaleźliśmy wzmianki w żadnem ze sprawozdań o Zjeździe Wileńskim, jakie w prasie pojawiły się, że zaś odpis protokułu z odbytego Zjazdu, streszczający przebieg narad, również znanym nam dotąd nie jest, nie wiemy przeto, czy to pismo nasze do Prezydjum Zjazdu, noszące charakter pewnej deklaracji, było wzięte pod uwagę przy omawianiu projektu statutu.

W każdym jednak razie tak treść tego, co wyżej powiedzianem i wyjaśnionem przeze mnie zostało, jak i podany tu odpis pisma delegacji naszej do Prezydjum Zjazdu Wileńskiego, stwierdzają, że ani punkt 3-ci wniosku Szanownych Panów Wnioskodawców, którzy Synodowi Unijnemu w Poznaniu zaproponowali powzięcie uchwały, opublikowanej w numerze 11 Zwiastuna z r. b., ani też omówienie tego punktu, w którem zaznaczonem zostało, że nasza grupa (nazwana wprawdzie tylko ogólnikowo — p e w n ą g r u p ą) do promotorów Ugody nie należała, — uzasadnienia należytego nie mają.

Niniejsza publikacja ma na celu jedynie tylko stwierdzenie istotnego stanu rzeczy,—nic ponad to.

K. Tosio.

Z FRANCJI WIERZĄCEJ

KORESPONDENCJA WŁASNA.

Lijon — Grenobla, w marcu 1927.

Było mi danem uczestniczyć w kongresie, który pozostawi niezatarte wspomnienia na całe życie. Między 27 lutego a 3 marca odbywał się w Lijonie XXI Kongres Narodowy Francuskiej Federacji Chrześcijańskich Stowarzyszeń Studentów (XXI-e Congrès National de la Fédération Française des Associations Chrétiennes d'Etudiants). Wszystko na tym kongresie od jego organizacji i programu, aż do najdrobniejszych szczegółów wykonania tworzyło całość tak jednolitą, bryłowatą, masywną, że niepodobna mi znaleźć określenia właściwszego, niż ucieleśnienie entuzjamu i wiary młodzieńczej.

Co do organizacji istniało niezawodnie bogate doświadczenie kongresów poprzednich i zostało w całej pełni wyzyskane. Uczestnikom kongresu zapewniono wygodne mieszkanie i utrzymanie za bardzo niewielką opłatą, a stało się to możliwem jedynie dzięki życzliwości i poparciu lijońskich przyjaciół Federacji. Sama, acz cudzoziemka, czułam się w domu bogatych lijońskich współwyznawców, jak śród bliskich, serdecznych i życzliwych braci. Od innych uczestników kongresu słyszałam to samo.

Dalej, pomimo, że Federacja składała się z 90% ewangelików, pomyślano z iście ewangelicką, braterską serdecznością o nabożeństwach kongresowych dla katolików i dla prawosławnych, aby żaden uczestnik innego wyznania nie odczuwał w jakikolwiek sposób, że jest przedstawicielem „mniejszości". Jeśli można mówić o jakiemś wyróżnieniu kogokolwiek na tym kongresie, to o wyróżnianiu katolików, których ewangelicy gościli z całą serdecznością i życzliwością.

Przedmiot obrad kongresu był wysoce znamienny dla czasów naszych, a mianowicie: Autorytet. Można sobie narzekać na nadmierną indywidualizację, ale jest ona faktem, i liczyć się z nią trzeba. Jeden z profesorów uniwersytetu w Grenobli, pracowity erudyta i dobry katolik, powiedział kiedyś, że katolicyzm nie liczy się z człowiekiem takim, jaki istnieje, ale jaki istnieć powinien. W pierwszej chwli zdanie to czaruje, ale później rozczarowuje. Katolicyzm nie liczy się z rzeczywistością, jaka jest, a przecie w tej bojkotowanej przez niego rzeczywistości zawarta jest także prawda historyczna, z którą sumienie i rozum liczyć się każą. Nie można przecie odwracać się wyniośle od tradycji ewangelicznej pisanej, ku poezji tradycji ustnej, przekształcanej i zniekształcanej. Poruszając się w płaszczyźnie przeciwieństw absolutnych, spostrzeżemy, że człowiek wprawdzie nie jest idealny, ale i pewne ideały mogą być bardzo nieludzkie. Przecież na przykład taki ideał dobrowolnego ubóstwa domaga się koniecznie dobrowolnego bogactwa, bo któż rzucałby jałmużnę dobrowolnemu ubóstwu, gdyby wszyscy chcieli dosługiwać się nieba przez wyrzeczenie? Konsekwencje łatwo sobie wyobrazić.

Takie myśli nasuwały się podczas rozpraw kongresowych. Istnieje wybujała indywidualizacja, zachwiały się podczas wojny podstawy społeczne, polityczne, a przedewszystkiem moralne i religijne. Cóż uczynimy? Odwrócimy się od wszystkich, którzy odwrócili się od zasad chrześcijańskich, czy też spróbujemy ustosunkować się do sprawy autorytetu i dać dniowi dzisiejszemu słowo, którego potrzebuje?

Śród narodów łacińskich Francja wyróżnia się cudownie swoim wszechstronnym stosunkiem do

rzeczywistości. Włochy, Hiszpanja, Brazylja, podobnie jak katoliccy Słowianie naśladujący wzory łacińskie, ideał widzą w mechanizacji życia społecznego i politycznego, w ujednostajnieniu, w unifikacji umysłów, serc i sumień. Dyktator przychodzi i głosi, że w jedności jest siła i przeprowadza jedność w ten sposób, że wszystkim każe być takimi, jakim jest sam. Jest to klasyczna postać nie liczenia się z rzeczywistością, to też w krajach katolickich rzeczywistość bardzo często w sposób ostry rozrachowuje się z takimi dyktatorami.

Francuz nie podchodzi do tego zagadnienia od strony osoby dyktatora, ale od strony sumienia społecznego, kierowanego rozumem i dobrą wolą. Zagadnienie autorytetu było na kongresie rozbierane i dyskutowane bardzo rzeczowo i metodycznie. Profesor Siegfrid wygłosił odczyt na temat: Autorytet a demokracja, profesor Monod zajął się tematem: Autorytet a wychowanie, a pastor Bertrand uzupełnił oba tematy, mówiąc o Autorytecie a życiu wewnętrznem.

Kongresowano w ten sposób, że codzień zrana odbywały się rozmyślania, prowadzone przez studentów teologji, którzy licznie reprezentowali trzy fakultety teologji ewangelickiej: Paryż Strassburg i Montpellier. Wygłaszano też krótsze i dłuższe przemówienia na tematy aktualne, co zaś najważniejsza, dyskutowano nad odczytami dnia poprzedniego. Wszystko to było przeplatane śpiewaniem pieśni ze zbiorku międzynarodowego, w którym z wielkiem wzruszeniem znalazłam piękną pieśń Karpińskiego: „Kiedy ranne wstają zorze." Popołudnie było poświęcone zwiedzaniu starego Lijonu, a wieczorem odbywały się odczyty.

Taki był program i tak był wykonywany, ale, niestety, słowo nie odda tego nastroju cudownego, który od początku do końca towarzyszył zebraniom i obradom! Zebrania odbywały się w kościele Metodystów, którzy z wielką gotowością oddali kogresowi wszystkie swoje lokale. Dnia 27 lutego odbyło się nabożeństwo inauguracyjne w kościele reformowanym, przyczem nie zapomniano o odpowiednich nabożeństwach dla katolików i prawosławnych, jak już zaznaczyłam. Oficjalne otwarcie kongresu nastąpiło dnia 27 lutego o 3 po południu. Pozostanie mi na zawsze niezapomnianem. Chwila ciszy i skupienia, potem krótka modlitwa jednej z uczestniczek kongresu a po modlitwie — niby potężne echo cichych słów modlitewnych — z piersi dwuch set młodych chrześcijan (nie znalazłabym dla nich piękniejszego, zaszczytniejszego imienia) wybucha potężny, wielki śpiew Te Deum...

Wrażenie było potężne i święte. Nikt nie wtórował, każdy wiódł prym swojej wiary i swego entuzjazmu. Miało się wrażenie, że w tych szeregach młodzieży każdy jest pierwszy i że niema śród nich ostatnich. Taki był ten śpiew mocny, zdecydowany, stanowczy, zwycięski. Tak podczas uroczystości narodowych śpiewają Francuzi swój hymn narodowy, w którym także jest wyznanie wiary w wieczne excelsior, w bezustanny postęp i rozwój świata i ludzkości.

Oczywiście, że na kongresie nie byli wyłącznie studenci i młodzież wogóle. Obok młodych studentów widziało się dużo młodych (tak!) ludzi starszych, a nawet siwowłosych starców, ani myślących ustępować młodym w entuzjazmie. Tak samo, jak w pieśni inauguracyjnej, słyszałam w przemówieniach ciągle ten zasadniczy ton wiary w zwycięstwo idei chrześcijańskiej i radosne, pogodne zaciąganie się w szeregi bojowników tej idei. Kongres był interesujący i porywający nietylko swoją treścią, ale i ludźmi, którzy się na nim znaleźli. Inżynierowie, pastorzy, lekarze, profesorowie poprzyjeżdżali nieraz zdaleka, aby dawać i czerpać zarazem.

Atmosfera kogresu sięgała daleko po za salę obrad. Można powiedzieć, że wszyscy uczestnicy kongresu obradowali stale nawet podczas pory posiłkowej, na wieczornych spacerach i pogawędkach przy kominku. I ta właśnie strona kongresu, prywatna, że tak powiem, poufna i poufała w szlachetnem znaczeniu słowa, dała nam wszystkim bardzo wiele. Na przykład w domu, w którym ja znalazłam mieszkanie, cała rodzina, biorąca bardzo żywy udział w życiu Federacji, czyli Fédé, jak się tu skraca przydługie słowo, kongresowała gorliwie w mieszkaniu, ile razy znalazła się razem. A było to kongresowanie bardzo żywe. Prócz mnie mieszkało w tym gościnnym domu dwoje dziewcząt z Montpellier i dwóch młodzieńców przyjezdnych, uczestników kongresu. Gdy doliczymy tu trzech synów i dwie córki pani domu, panią, jej brata i tego brata córkę, a prócz tego przygodnych gości, to będziemy mieli istny kadłubek kongresu.

Jedna z panien z Montpellier, córka profesora teologji, opowiadała nam nadzwyczajnie ciekawe rzeczy o współżyciu profesorów ze studentami. Profesorowie są nietylko ich nauczycielami, ale kierownikami i przyjaciółmi. Ustalił się zwyczaj, że każdy student musi odwiedzić każdego ze swoich profesorów przynajmniej raz na tydzień, przyczem bywa zapraszany do pozostania na obiedzie lub kolacji. Ktoś z obecnych zauważył, że zwyczaj jest nietyko chwalebny, ale i wysoce praktyczny dla studentów, jeśli profesorowie karmią nietylko ducha, ale i ciało. Jeden z młodzieńców ulokowanych w tem samem mieszkaniu był teologiem, kończącym właśnie studja, a drugi studentem filozofji i gorliwym współpracownikiem pisma „Le Semeur" (Siewca), organu Federacji francuskiej.

Zaszczytnem było zawieranie znajomości z ludźmi, którzy w iście cudowny sposób umieli pogodzić ideał z rzeczywistością. Oto na przykład młody teolog, wysoki, smukły, o jasnem głębokiem i szczerem spojrzeniu, pełen ujmującej prostoty w obejściu. Pod koniec swoich studjów wpadł na pomysł napisania rozprawy

doktorskiej na temat pracy dla Chrystusa śród robotników. Idzie więc między robotników i pracuje śród nich i z nimi jako robotnik. Zdobywa potrzebne doświadczenie dla napisania rozprawy, ale zarazem tak się przyzwyczaja do życia między robotnikami, że wraca do nich i znowuż pracuje między nimi i z nimi. Tak trwa to od lat trzech, a on sam nie przesądza, czy nie potrwa na zawsze, bo znajduje zadowolenie moralne w swojej pracy.

Mieszka w jednej z wiosek szwajcarskich. Wspólnemi siłami wznieśli sobie tam robotnicy domek dla stałych zebrań i małej bibljoteki. Jest zadowolony, że samiż jego przyjaciele robotnicy dostrzegają różnicę w swem życiu od czasu, gdy poznali Chrystusa. Zaczęli się serdeczniej odnosić do życia rodziny, pomagać żonom w pracy domowej, troskliwiej opiekować się dziećmi, przestali pić, palić... Takich szlachetnych ludzi spotyka się rzadko i dlatego tem mocniej odczuwa się radość poznania ich. Należy on do „Volontaires pour l'Evangelisation" (Ochotników dzieła ewangelizacji).

Czem są tacy ochotnicy, o tem pouczyło nas jedno z posiedzeń kongresu, specjalnie im poświęcone. Zdawali na niem sprawę ze swojej działalności ci zacni i szlachetni ludzie, poczuwający się do ofiarnej odpowiedzialności za wielu. Przemawiali m. in. misjonarz z Afryki i jeden z pastorów francuskich. Misjonarz opowiadał o murzynach rzeczy ciekawe i wzruszające, wykazując na przykładach, że naogół murzyni są dobrzy, dostępni wpływom umoralniającym i uspołeczniającym religji chrześcijańskiej, a jeśli się psują, to niestety, skutkiem złego przykładu białych chrześcijan.

Misjonarz mówił, że praca jest olbrzymia, ale pracowników mało. Niema dość misjonarzy, niema lekarzy. Nazajutrz miałam szczęście poznać studenta ze Strasburga, medyka, kończącego studja. Pod wpływem wezwania misjonarza zdecydował się szybko i zgłosił się jako lekarz misyjny. Pojedzie do Afryki, jak tylko otrzyma dyplom lekarski. Nie umiem wypowiedzieć tych uczuć, jakich doznawałam na jego widok. Gdy mi w prostych słowach opowiedział o swojem postanowieniu, budził we mnie uczucie podziwu i wdzięczności i za tego misjonarza, na którego wezwanie odpowiedział takiem pięknem postanowieniem i za tych biednych murzynów, których cierpienia będzie łagodził.

Niemniej interesującą od misji zagranicznej jest misja wewnętrzna, o której mówił jeden z pastorów, podkreślając, jak wiele mają tu do wykonania duszpasterze. Zrozumiałam, że zdobywanie „chrześcijan" dla Chrystusa jest o tyle trudniejszem od zdobywania pogan, iż pierwszym zdaje się, że zewnętrzna przynależność do Kościoła może zastąpić wenętrzne ustosunkowanie się do niego. Misja wewnętrzna ma swoich entuzjastów. Nieraz młodzi studenci różnych wydziałów przerzucają się na teologję, aby utorować sobie drogę do pracy w misji wewnętrznej. Między innymi dowiedziałam się o b. studencie politechniki, który sięgał już po dyplom inżyniera, a w ostatniej chwili przerzucił się na teologję, poszedł między górników Francji północnej i pracuje śród nich z wielkiem powodzeniem. Jest on nietylko duszpasterzem w ściślejszem znaczeniu słowa, ale ich kierownikiem, doradcą, przyjacielem. Zdobył sobie takie zaufanie swoich parafjan, że ci zwracają się do niego we wszystkich możliwych sprawach po rady i wskazówki. Pewien górnik np. udaje się do zegarmistrza z zepsutym zegarkiem, ale ten mu powiada, że zegarka już naprawić nie można. Zacny górnik wzrusza ramionami, zabiera zepsuty zegarek i idzie z nim prosto do swego pastora, który jego zdaniem z pewnością go naprawi.

Psator ten jest wysoce muzykalny i ma wyjątkowo ładny głos. Zorganizował więc chóry robotnicze i śpiewa z nimi całe koncerty Cezarego Francka. Rozwijając ich myzyką pod względem estetycznym, nie zapomina o ich rozwoju umysłowym i zaopatruje ich w dobre książki. Inny pastor, eutuzjasta misji wewnętrznej, mieszkający na pograniczu francusko-szwajcarskiem, daje w Genewie cykle odczytów o najwspółcześniejszej literaturze francuskiej. W przeciągu kilku miesięcy audytorjum jego z 30 osób wzrosło do 300. Takich entuzjastów jest wielu; przytoczyłam pierwsze z brzega przykłady.

Kongresowanie w Lijonie jest bardzo miłe. Miasto położone nad ujściem Saony do Rodanu, ma dużo uroku i wyjątkowego piękna. Szczególniej wieczorami, gdy tysiące świateł odbijają się w wodzie obu rzek. Niejako okrasą poważnych obrad kongresowych było zwiedzanie Lijonu pod przewodnictwem miejscowych pastorów. Śród kilku ciekawych domów z szesnastego stulecia, osobliwą uwagą cieszył się ten, z którego wyszedł był rozkaz gubernatora mordowania protestantów w nocy św. Bartłomieja. Zwiedzaliśmy też podziemia byłego cesarskiego pałacu z czasów panowania rzymskiego. W podziemiach tych według podania zamykano w II stuleciu chrześcijan, którzy nie chcieli wyrzec się swojej wiary w Chrystusa.

Oglądaliśmy miejsce dawnej areny cyrkowej, której półkole zdaje się wydłużać półkolem łańcucha Alp. Nad jednem z zagłębień, wykopanych dla zbadania wielkości areny według nachylenia ścian, kongresiści z odkrytemi głowami w powadze i skupieniu odśpiewali psalm. Badaniami tej areny interesował się w swoim czasie bardzo żywo Ernest Renan. Przy schodzeniu do podziemi bardzo ciekawego kościoła św. Ireneusza, gdzie jest kaplica licząca sobie 12 stuleci wieku, jeden ze studentów zauważył taki napis: „Wszystkim, którzy zejdą do podziemi z pobożnym zamiarem, 300 dni odpustu. W roku 1575 kalwini napadli na ten kościół i bezbożnie po-

mięszali kości św. męczenników z kośćmi zwierząt".

Zeszliśmy, oczywiście, nie dla otrzymania odpustu, ale dla zobaczenia ciekawego zabytku budowlanego. Za nami szły myśli o tych dalekich przodkach naszych, ktrórzy tak pracowicie musieli wydobywać się z nałogów rzymskiego odciskania zła złem. Ale zasada wyznawana przez nich, doprowadziła wreszcie do tego, że my, ich potomkowie duchowi, nie wahamy się potępić tego, co obcem było duchowi Ewangelji. Trzeba było stuleci, aby została zrozumiana myśl Chrystusowa, że należy pozostawić umarłym, aby grzebali umarłe swoje i że nie należy rozrzucać kości umarłych, aby zapobiec bałwochwalstwu, lecz przykładem i słowem uczyć, jak trzeba chwalić Boga w duchu i w prawdzie.

O ewangelikach francuskich powiada Dzieduszycki, że liczebnie są znikomą zaledwie cząstką narodu francuskiego, ale przodują oświatą i zamożnością. Ileż to szkody poniosła Francja, że nietolerancja katolicka rozpędziła wielkie mnóstwo tych pracowitych, mądrych ludzi na cztery strony świata!- Ale być może, iż było to potrzebne, aby z tej samej Francji, z której od dawien dawna promieniowało światło cywilizacji świeckiej, wyszło także światło Ewangelji, bez którego wszelka cywilizacja tak łatwo się wyradza. I być może, że właśnie te ostre, bezwzględne ciosy, które spadały na głowy protestantów francuskich, były potrzebne, aby z protestantyzmu francuskiego nie stało się to, co w wieku XVII stało się w Polsce. Ludzie, którzy u nas szybko przerzucili się z katolicyzmu na ewangelicyzm, również łatwo przeszli na katolicyzm, gdy korzystniej było wyznawać katolicyzm i należeć do wyznania panującego. Wiernych pozostała garstka...

W dzisiejszej Francji jest jakieś 700 tysięcy protestantów, a więc około 1,75% ogółu ludności, a jednak odgrywają oni rolę pierwszorzędną; w Polsce protestantów jest dwa razy więcej niż we Francji. Nie chodzi, oczywiście, o zewnętrzności, ale o budowanie życia. Nie można powiedzieć, aby protestanci nie odgrywali pewnej roli w Polsce; uczynili oni tu bardzo dużo, ale uczynili anonimowo tak, że nikt nie zna tej pracy ewangelickiej. Co więcej, przy sposobności demagogja zaleca doszczętne wymiecenie żywiołu protestanckiego, jako szkodliwego. Przyszłość ewangelicyzmu w Polsce od ewangelików zawisła. W Lijonie widziałam, ile może zrobić umiłowanie sprawy i święty zapał. Oby zbudził się i w naszym polskim ewangelicyzmnie do pracy dla dobra Polski i całej ludzkości!

Elżbieta Hulkówna.

DOZNANIA RELIGIJNE W NAJNOWSZEJ LITERATURZE POLSKIEJ.

D. c.

IV.

W poprzednim rozdziale dostrzegliśmy niewątpliwie, że klasowość dla Bronowicza stanowi nie czynnik samoistny walki proletarjatu, ale funkcję życia narodowego. Bądź co bądź nie odbiegł on aż tak daleko od naszych tradycyj historycznych, by przekreślić na rzecz „klasy" takie pojęcia, jak „naród", jak „ojczyzna". Stąd ma on nieco uznania dla tej elity intelektualnej szlacheckiej, która stanowiła w naszych dziejach porozbiorowych element demokratyczny i rewolucyjny. Stąd również, zachwycając się ustrojem gospodarczym Rosji bolszewickiej, pragnął w nas wmówić, że „upaństwowienie tutaj dopiero staje się unarodowieniem w ścisłem znaczeniu wyrazu".

I oto okazało się, że polscy komuniści skutkiem takiego postawienia sprawy dostrzegli i w nim owo „romantyczne zakłamanie", jakie on zarzuca naszej literaturze „od Mickiewicza do Żeromskiego".

W pierwszym numerze komunistycznego miesięcznika literackiego „Dźwignia" tak rozprawia się z nim korektor jego znów „tragicznych pomyłek", Andrzej Stawar:

„Bronowicz nie posiada się z cnotliwego oburzenia, stwierdzając, że dzisiejsi hreczkosieje i właściciele stajni wyścigowych nie mają prawa przystrajać się w glorję bojowników walk niepodległościowych. Otóż właśnie, że mają zupełne prawo. Prawo choćby z racji przynależności do wspólnego zbiorowiska klasy".

I na innem miejscu tak uzasadnia swoje twierdzenie:

„Bezsprzecznie pewna część szlachty zwalczała przeżyty już gospodarczo feodalizm pańszczyźniany. Byli to najrozumniejsi i najlepsi przedstawiciele swej klasy — ale zarazem przedstawiciele dalej patrzącej polityki klasowej. Wierzyli oni nieobłudnie, iż mają na celu idealne dobro całej ludzkości. Ale tacy właśnie ludzie szeroko, swobodnie na swój czas myślący, umiejący odrzucić doraźny osobisty interes — są zawsze czołowymi przedstawicielami swej klasy. A już bezwzględnie są lepszymi obrońcami jej jutra, niż zacietrzewieni w wyzysku okrutnicy i tyrani. Gdyby burżuazja i obszarnictwo dysponowały tylko Chwalibogami i Połanieckimi, położenie ich byłoby znacznie gorsze. Ratują ich najczęściej Czarowice i Olbromscy. I to jest robota w ich guście: zalepiać zupełnie jasne ten-

dencje klasowe „ideą ojczyzny", garnirowaną w dodatku przez Bronowiczów klasowemi kwiatkami".

To jest przynajmniej powiedziane jasno i otwarcie, ale i nie wymaga dyskusji. Napróżno patrjarcha socjalizmu polskiego, Bolesław Limanowski, w swojej „Historji demokracji polskiej w epoce porozbiorowej" stwierdza, że „powstanie 1863 r. spełniło zadanie społeczne naszej demokracji; napróżno dowodzi, że dzięki niemu „mur poddaństwa i pańszczyzny, czyniący niemożliwem wytworzenie się jedności narodowej, runął ostatecznie w granicach całej dawnej Rzeczypospolitej". I cóż z tego? Taki Zygmunt Padlewski, który w dniu 16 stycznia 1863 r. na zgromadzeniu komisarzy wojewódzkich i wydziałowych miasta Warszawy nawoływał, aby „młodzież, z której moskal dla silniejszych nam kajdan krew na Kaukazie wyleje, poświęcić dla zbawienia ludu, dla skończenia sprawy włościańskiej przez sam Naród", — taki Padlewski, powiadam, był w mniemaniu naszych komunistów tylko godnym zdemaskowania „obrońcą klasy szlacheckiej". Skoro dla tych oślepłych z nienawiści fanatyków historycznego materjalizmu najbardziej bohaterska ofiara na ołtarzu miłości ludu jest tylko jednym jeszcze, i to najniebezpieczniejszym przejawem podświadomego egoizmu walczącej o swe jutro szlachty, to nie zdziwi nas zgoła ich twierdzenie, że wreszcie i sam Bóg, nakazujący miłość dla bliźnich bez rozróżniania ich na stany czy klasy, jest przeciwnikiem fetysza „klasowości". Proszę się nie śmiać — to nie żart. To szczera prawda. W tym samym numerze „Dźwigni", który demaskuje „romantyka" Bronowicza, Henry Barbusse w specjalnie dla tego pisma przeznaczonym artykule mówi krótko i bezapelacyjnie:

„Z idei Boga wypłynęła wielka siła uświęconego porządku, jakim był ustrój feodalny, zanim stał się — za zmianą etykietek — ustrojem burżuazyjnym; tyranja ukoronowanych awanturników, dynastyj królewskich, przemieniona w tyranję aferzystów.

Z koncepcji Boga czerpano elementy tego olbrzymiego fałszowania naturalnej ewolucji ludzkości, tej ofiary mas na rzecz niewielu. Istotnie, obecność Boga obala wszelkie dzieło ludzkie. Bóg jest wielkim transformatorem, który przemienia wszystko". Jest jednem słowem — „kontrrewolucjonistą" — czy nie tak? Tak więc wygląda komunistyczna wolność sumienia. Za wiarę w Boga — do Czeki. Ten nowoczesny bizantynizm jest, jak sądzę, najlepszą odtrutką na jady nienawiści klasowej, której „pryncypjalna" zachłanność sięga aż w sferę zaświata. Ta zdumiewająca prostolinijność rozumowania nie przemówi do duszy Polaka, który kulturę czerpał i czerpie ze źródeł zachodnich. Więc gdy po wielkiej wojnie światowej nie dostrzega on, niestety, realizacji dawnych swych wierzeń, czerpanych z „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego", to rozumie on dobrze, że dzieje się to nie skutkiem „romantycznego zakłamania" ich twórcy, lecz z tego poprostu powodu, że ludzkość współczesna nie dorosła jeszcze moralnie do jego ideału powszechnego braterstwa. Czyż ma dlatego wyrzec się całkowicie wiary w postęp duchowy, w zdolność doskonalenia się człowieka? Nie — on nie jest w stanie zrezygnować z nadziei — i powtarza za Wierzyńskim:

> Nie znalazłem i szukam tego pojednania.
> Które miłość do świata ze światem pogodzi,
> By w tem zawiłem kole wiecznego mijania
> Żyć było mniej boleśnie i umierać słodziej.

W rozdziale niniejszym chcę właśnie pomówić o jednym z takich „poszukiwaczy pojednania", Ferdynandzie Goetlu, i o jego niezwykle pięknej noweli p. t. „Ludzkość".

Jesteśmy tu świadkami bolesnych dziejów ducha jednego z tych szlachetnych inteligentów polskich, którzy „wierzyli nieobłudnie, iż mają na celu idealne dobro ludzkości".

Profesor Stożek nie był wprawdzie czynnym bohaterem jakiejś insurekcji czy rewolucji, zdążającej do sprowadzenia Królestwa Bożego na ziemię, lecz był uczonym, głoszącym hasło, że „ludzkość trzeba mieć w duszy". Jako profesor nie przestał cenić ideałów młodzieńczych powszechnej miłości, które ukochał i krzewił między kolegami na szkolnej ławie, zyskując dla nich serca prawe i płomienne.

Niestety — przyszła wojna, a potem rewolucja — i profesor Stożek, „wyrzucony poza nawias życia, zamieniony w nędzną igraszkę wypadków, przeciwko którym buntowała się jego dusza, zwątpił".

Przeszedłszy razem ze swym kolegą szkolnym i ubóstwiającym go przyjacielem, kapitanem Grudą, piekło wojny w armji rosyjskiej, jako prosty żołnierz,—i następnie dwa lata rewolucji, gdy ostatecznie zamknięto przed nimi możliwość legalnego powrotu, dał się namówić przyjacielowi na ucieczkę i przedostał się, dzięki jego opiece, na południe, do Persji.

„I oto jedno za drugiem uderzało w nich nieszczęście. Przyłapani na granicy przez czerwony patrol, musieli się okupić całym niemal zebranym na drogę kapitałem. Kilka złotych dukatów, zaszytych w ubraniu na czarną godzinę, odebrano im następnie na posterunku perskiej straży celnej. Rewizja osobista, dokonana przez przejezdnego żandarma, pozbawiła ich bezpowrotnie dokumentów osobistych. Przeto odmówił im wszelkiej pomocy stacjonowany opodal granicy komendant angielskiego oddziału".

Wreszcie dostali się do więzienia perskiego, gdzie profesor Stożek zachorował na tyfus plamisty. I tu zbuntował się przeciwko dawnym swym humanitarnym ideałom.

— „Ludzkość? — natrząsał się z przyjaciela — o czem ty mówisz, człowieku? Czy ciebie nic nie nauczy? Gdzieś miał oczy, gdzie uszy, gdzie rozum i serce przez te lata ohydnych poniżeń? Szliśmy na wojnę, nazywało się: ludzkość, dla ludzkości. I wypruwałeś bebechy z ludzi, aż cię w imię tejże ludzkości przejechali po łbie szabliskiem i posłali w niewolę tam, gdzie djabeł

mówi dobranoc"... „A wspaniała jutrzenka rewolucji, świt człowieczeństwa — to nic? Tu ci dopiero pokazali, jakim jesteś bydlakiem! Pamiętasz czerwonego gieroja, co ci zaliczał na granicy twój uciułany w nędzy grosz. Drań wy — mówi — niepotrzebni nikomu. Naco wam pieniądze?"

Gruda uciekł z więzienia, by ratować chorego przyjaciela. A Stożek ucieszył się swej samotności: pragnął już tylko umrzeć. Zwątpił o świecie, o ludziach — poco mu było żyć?

Jednak nie umarł. Dzięki ucieczce Grudy otoczony został przez obawiających się następstw swego bezprawia Persów opieką, wyzdrowiał, a następnie wypuszczono go z więzienia.

I wtedy zaczął „gorączkowo szukać zbawczej dewizy, którąby tchnęła treść w nicość jego istnienia. Znalazł ją. Jeśli silniejszą od wszystkiego okazała się bydlęca jego żywotność, to będzie żył. I będzie bydlakiem". Będzie zgodnie z bolszewickiem hasłem Majakowskiego, „żarł razowy chleb i żywą żonkę czuł".

Stało się jednak inaczej. Walcząc, jak zwierzę, z innemi zwierzętami rodzaju ludzkiego, został przez nie pokonany i ograbiony. Jako umierający z pragnienia nędzarz dowlókł się do studni na pustyni. Studnia ta zwała się „Talizman Ludzkości". Niestety — za wodę z niej pobierał opłatę przedsiębiorca. Stożek chciał przemocą zdobyć wodę, lecz, odepchnięty brutalnie, upadł na piasek, aby umrzeć z pragnienia.

I wtedy spłynęła nań łaska.

Uratował go drugi nędzarz, Ben-Ali, który w służbie u dzierżawcy źródła wydawał wodę na samem dnie studziennego lochu. Sprzedany jako niewolnik przez nieszczęsnego ojca, który nie był go w stanie wyżywić, chłopiec ten cierpiał okrutne katusze. Nogi jego, brodzące przez dzień cały w lodowatej sadzawce, sprawiały mu nieustannie ból nieznośny. Jedynem marzeniem jego było ukończyć pracę i wyjść ze studni przed zachodem słońca, by móc wygrzać nogi w jego cieple.

W dniu, kiedy Stożek dowlókł się do oazy, Ben-Ali cierpiał męki, sroższe niż kiedykolwiek przedtem. Ale zdążył załatwić się z pracą, kiedy słońce wysoko jeszcze płonęło nad widnokręgiem.

„Kamienna ława, na której wysiadywał po pracy, tchnęła suchością i ciepłem".

Ben-Ali, „uśmiechnięty błogo, zamknął wrota studzienne, powiesił klucz na szyi, osunął się z rozkoszą na ławę i wyciągnął do słońca nogi opuchłe".

I wtedy właśnie — ujrzał umierającego z pragnienia Stożka. W pierwszej chwili wzdrygnął się przed myślą o powrocie na dno studziennego lochu. Odpędzał ją rozpaczliwie od siebie całą mocą instynktu samozachowawczego. Ale snać „miał w sercu ludzkość", bo odpędzić nie zdołał. I nietylko uratował umierające z pragnienia ciało, ale uleczył chorą z nienawiści i wzgardy duszę Stożka.

Nowela kończy się rozmową pomiędzy Stożkiem a Grudą, który odnalazł przyjaciela, i przy pomocy znajomego pastora umieścił go wraz z Ben-Alim w pobliskiej misji chrześcijańskiej.

— Po kilku dniach gonitwy, gdyśmy już wpadli na twój trop, znalazłem cię nad ranem śpiącego na nogach tego nieszczęśliwego chłopca. Cóż to był za widok, człowieku! Płakaliśmy rzewnemi łzami, ja i pastor. Ech, Stożek!

Przystanął około leżaka i pogładził kolegę po włosach.

Stożek powiódł po czole ręką.

— Nie wiesz, jak się ma Ben-Ali? — szepnął niespokojnie.

— Dobrze! — zawołał wesoło Gruda. Do wczoraj nazywało się, że mu mają odciąć nogi, a dziś powiedział doktór, że się obejdzie. Będzie zdrów jak ryba i zostanie w misji, choć tam ciągle jeszcze przebąkuje o tym Talizmanie Ludzkości.

— Chwała Bogu! — westchnął Stożek — ale to dziwna nazwa tej oazy — dodał zamyślony — prawda, Gruda?

Gruda zajrzał mu nieśmiało w oczy.

— Myślę, że i piękna, Stożku — odpowiedział wyczekująco.

— Tak! — powiedział Stożek. Potem ruchem nagłym ujął dłoń przyjaciela.

— Gruda! bracie najdroższy! — szepnął, cisnąc ją do piersi".

Ktoś gotów mi zarzucić, że, streszczając tutaj tę nowelę, popełniłem nieścisłość: niema w niej bowiem właściwego doznania religijnego, jest tylko wzruszenie, wynikające z wysokiego piękna czynu etycznego. Jednak — nie będzie to słuszny zarzut. Nowoczesna ta nowela ma w sobie coś z przypowieści ewangelicznej — i w lodowatej wodzie Talizmanu Ludzkości odbija się twarz Chrystusa, pochylonego nad cierpiącym Samarytaninem. Jest w niej to poszukiwanie wyższej rzeczywistości, które stanowi istotę doznania religijnego. Sądzę, że uleczony z pesymizmu profesor Stożek mógłby przeżycia swoje streścić słowami wiersza Wierzyńskiego:

Nikt żadnem słowem nas się nie dopyta.
Cośmy stracili i co nam przepadło.
Doświadczeniami dusza w skąpstwie skryta
I zapatrzona w swe ślepe zwierciadło.

Błogosławieństwo i bolesna męka —
A pozostałe czyż nie wszystko jedno?
Przed świętem życiem nędza nasza klęka
I oczy, patrząc od widzenia bledną.

O, patrzeć widzieć!.. Miłosne spojrzenie
Teraz jest, jakby modlitwa uboga.
Zapadła w ciche radosne zdumienie
Bezgranicznością Boga.

(D. c. n.) *Leon Rygier.*

RELIGJA I KULTURA WSPÓŁCZESNA.

D. c.

MISTYKA.

IV.

Mistyce zarówno intelektu, jak uczucia przyświeca wysoki i daleki ideał — prawda, i to prawda nie względna, zależna od tysiącznych warunków istnienia poznającego podmiotu i poznawanego przedmiotu, lecz prawda bezwzględna, ponadczasowa, prawda w bóstwie i bóstwo w prawdzie.

Nic więc dziwnego, że mistyk odwraca się z politowaniem od ludzi, usiłujących za pomocą zmysłowego poznania zdobyć prawdę. Zmysły, dając wielość i barwność, chwytając różnice jakościowe i ilościowe, wprowadzają człowieka w błąd; należy przeto „myein" — stąd mistyka— zamknąć oczy i wejść w siebie, na tej bowiem drodze jedynie cel — prawda — może być osiągnięty. Laotse twierdzi: „Bogactwo wzniosłogo człowieka znajduje się w jego wnętrzu". Mistyka wyłącza wszelki pozytywizm: empiryczny i racjonalny.

Nie ulega wątpliwości, że mistyce jest bliższy racjonalizm niż empiryzm; wystarczy wskazać na przykład wielkiego Spinozy, na szerzenie się masonerji w wieku oświecenia, na wydatną rolę, jaką odgrywa matematyka, symbolika liczb w mistyce.

Powinowactwo to wynika nietylko ze wspólnego przeciwieństwa do empiryzmu, lecz sięga o wiele głębiej. Mistycy byli pierwszymi wnikliwymi krytykami zdolności poznawczych; naiwny realizm, oparty na empiryzmie, był zbyt lichym przeciwnikiem, aby warto było z nim walczyć. Natomiast racjonalizm, zbudowany na myśleniu rozumowem, łączy się z mistyką, o ile istotny byt opiera i rozwija się na podstawach logicznych.

Przyjaźń między mistyką a racjonalizmem jest krótkotrwała; krytyka racjonalna oczyszcza pole dociekań mistyki od chwastów, doprowadza do pewnej granicy, którą można nazwać logicznym imanentyzmem, a następnie ustępuje pola transracjonalizmowi, stojącemu ponad i poza wszelkiemi normami logiki, — logiczna inszość.

Wtedy mistyk porzuca ostatecznie wszelkie sposoby racjonalnego poznawania, i w sobie, jako cząstce wszechbytu, w swojej głębi, którą łączy się z nieprzeniknioną tajemnicą istnienia, odnajduje źródło prawdziwego poznania.

Dlatego Bajazid mówi: „Jestem jak morze, bez początku, bez końca, bez dna."

Zapatrzony we własne ja, swe wnętrze, zapomina o przelotnych zjawiskach życia psychicznego i stopniowo, odrzucając wielość jego procesów, dochodzi do zupełnej prostoty—„haplosis"; ta prostota wewnętrzna, pozbawiona różnic, nie może być ujęta, i tylko negatywnie określona, staje się wreszcie nicością.

Dla mistyka jest ona zarówno odbiciem jak atomem tej odwiecznej wszechogarniającej nicości, która wymyka się wszelkiemu dyskursywnemu myśleniu.

W ten sposób osiąga mistyk cel, przyświecający wszystkim kierunkom teorjopoznawczym: usunąć przepaść między przedmiotem i podmiotem, przezwyciężyć tę zasadniczą przeciwstawność.

Zrozumiałe staje się przeto twierdzenie, że najwyższą formą poznania jest ogląd w intuicji, przez Spinozę nazywany amor Dei intellectualis, przez Kanta intelektuelle Anschaung. Plotyn opisuje ten akt w sposób następujący: „nie było to oglądanie, lecz inny sposób ujmowania, wyjście poza siebie i stanie się prostym, i oddanie się, i tęsknota za złączeniem się, i spokój, i dążenie do zespolenia się: gdy ktoś rzeczywiście będzie oglądał byt w swem wnętrzu".

Nic więc dziwnego, że wiara staje poniżej tego oglądu; Aegidjusz z Assyżu † 1262 wprost mówi: „Znam człowieka, który Boga tak wyraźnie oglądał, że stracił wszelką wiarę".

Z tego oglądu wynika dla mistyka w konsekwencji absolutna pewność jego sądów, niechaj otoczenie namową, kpinami lub nawet gwałtem zechce go pozbawić przekonania o słuszności swych twierdzeń — daremne usiłowania, chyba tylko z życiem zdołają wydrzeć mu pewność posiadania prawdy.

V.

Mistyka przezwycięża teorjopoznawcze przeciwieństwo między podmiotem i przedmiotem, lecz czy udaje się jej usunąć sprzeczności zasadnicze: między bytem i stawaniem się, między ogółem i szczegółem? Zdawaćby się mogło, że wszędzie, gdzie w myśl Mikołaja Kuzańczyka istnieje coincidentia oppositorum,—zlanie się przeciwieństw — jedność syntezy została osiągnięta.

W istocie jednak mistyka uznaje tylko czysty byt; niektórzy badacze twierdzą, że może się ona opierać na pojęciu stawania się, odrzucając byt; na dowód słuszności swych zapatrywań przytaczają Heraklita, Hegla, Marksa, o ile myślicieli tych możnaby w pewnej mierze zaliczyć do mistyków; lecz i oni, uznający tylko proces wiekuistego przeistaczania się, ustalili byt, wprawdzie silnie rozcieńczony, a jest nim prawo stawania się, logika przemian. Istotny byt jest niepodzielną jednością, przejawiającą się w wielości zjawisk świata zmysłowego. Świat zmysłowy nie ma więc w sobie samodzielnego bytu, lecz istnieje tylko mocą owej prajedności.

Droga, po której wyłania się świat realny ze swej macierzy, jest to droga emanacji. Stawanie się przez emanację nie odbywa się w czasie i pod tym względem różni się zasadniczo ema-

nacja od ewolucji; jest to raczej proces logiczny wynikania, odbywający się w preegzystencji.

Stawanie się zaś w świecie zmysłowym jest w istocie tylko złudzeniem krótkotrwałem i bezwartościowem, cel bowiem wszelkiego istnienia indywidualnego polega na zlaniu się ze wszechbytem.

Mistyka więc w swych ścisłych konsekwencjach dochodzi do akosmizmu, a przez to do zaprzeczenia sensu istnienia szczegółu, ginącego w ogóle.

Z tego powodu dla mistyka historja, jako ciągłość powstawania i zanikania tworów przemijających, traci znaczenie. Ciekawym jest fakt, że sufici perscy byli zupełnie obojętni na fakt najścia mongołów na ich ojczyznę; dla mistyka obecnego dzieje historyczne są rzeczą pozbawioną głębszej wartości.

Wszędzie, gdzie ginie szczegół na rzecz ogółu, gdzie indywiduum tonie w powszechności, powstaje determinizm filozoficzny lub religijny. Wyraźnie występuje ta tendencja u Spinozy lub w mistyce, naprzykład u Hansa Engelbrechta (1599 — 1642): „Ja tu leżałem, jak martwa rękawiczka; jeżeli w niej nie znajduje się ręka, to nie może się rękawiczka poruszać; nie ona rządzi sobą, a ręka, znajdująca się w rękawiczce; ręka porusza rękawiczką i rządzi nią. Tak jest ze mną. Widzieliście mnie leżącego, jako martwą rękawiczkę, która nie może się poruszać; żywa ręka Boga wsunęła się we mnie, w moją krew i martwe ciało, które było zimne i sztywne, i nadała mu życie przez swą moc niebiańską; wszechmocna ręka Boga rządzi obecnie mną, a nie ja".

(D. c. n.) *Prof. K. Serini.*

TRZY DOKUMENTY CHWILI.

Jest ich właściwie tysiąc, ale wybieramy trzy z brzega. Pierwszym jest występ ks. Godlewskiego w Milanówku. Pod pretekstem odczytu o lidze katolickiej, ks. Godlewski urządził właściwie zebranie przedwyborcze bardzo wyraźnie określonej partji, która wszelkiemi sposobami pragnie zapewnić sobie decydujący wpływ na rządy państwowe. Ponieważ próby opanowania sytuacji przez sztuczki, zmieniające ordynację wyborczą, zawiodły, trzeba wrócić do dawnych metod.

Ks. Godlewski poddał ostrej krytyce rządy polskie, nie dopatrując się w nich niczego prócz zła we wszystkich możliwych postaciach. Według sprawozdania gazet ks. Godlewski widział w rządach niemieckich ideał uczciwości i rzetelności w porównaniu z rządami polskiemi. Czytamy w „Epoce", że zdaniem tego księdza, nie jakiś kierunek, czy prąd, ale wszystko w Polsce jest niedołęstwem, złodziejstwem, krzywdą ludzką. Do najśmieszniejszych jego twierdzeń należy to, że niby Kościół katolicki w Polsce niepodległej jest uciskany tak samo, jak przez okupantów rosyjskich. Zapomniał już ks. Godlewski, że w taki sposób nie byłby się odważył odezwać nietylko o rządach rosyjskich, ale nawet o pierwszym lepszym strażniku. Więc albo przesadza w pasji, albo poprostu świadomie mija się z prawdą. Choćbyśmy mu powiedzieli, że Chrystus nie kazał zdobywać państwa, ale dusze i sumienia dla królestwa Bożego, to nas nie zrozumie, bo Kościołowi rzymskiemu zawsze i wszędzie chodziło o panowanie i zawsze czuje się uciskanym, gdy państwo pozostawia mu wolność rządzenia duszami, a nie daje całkowitej możności rządzenia państwem.

Drugi dokument to list pasterski kardynała Kakowskiego, wymierzony przeciwko YMCE. „Epoka" piórem Tadeusza Zagórskiego słusznie zwraca uwagę na fakt, że do Polski została YMCA sprowadzona przez generała Hallera, prawowiernego katolika i sodalisa. Że młodzi entuzjaści Ewangelji przyszli do nas, aby nam pomagać, aby towarzyszyć naszemu żołnierzowi, walczącemu z nawałą bolszewicką i że przyszli nie z pustemi rekoma, ale przynieśli z sobą miljon siedemset tysięcy dolarów jako realny wyraz swego idealizmu. Dopóki murzyn był potrzebny, siedziało się cicho, gdy zrobił swoje i stał się niebezpiecznym nauczycielem idealizmu praktycznego, huzia na niego! Może iść, a nawet powinien iść, bo Polak pójdzie do piekła, jeśli nie będzie słuchał wyłącznie i bezwzględnie nakazów kosmopolitycznego Rzymu.

Z artykułu T. Zagórskiego widać, jak wielką była ofiarność YMCI dla Polski, ale zarazem widać, że księża zaczęli dopatrywać się w bezinteresownej YMCE niebezpiecznego konkurenta i odmówili poświęcenia wspaniałego gmachu YMCI w Krakowie, przedstawiającego wartość 1,800.000 złotych, a podarowanego młodzieży polskiej przez jednego entuzjastę YMCI ś. p. Fenna z Clevelandu. Możnaby zapisać całe tomy czynami YMCI w Polsce i daremnie szukałoby się na przestrzeni całych wieków historji społeczeństw katolickich czynów choćby zdaleka podobnych do ofiarności YMCI. Katolicka ofiarność szła zawsze w kierunku obdarowywania kleru i dlatego obdarowywanie społeczeństwa świeckiego jest dla tego kleru takie niesympatyczne, że w walce z YMCA do listu pasterskiego kardynała zakradły się nawet pewne grube nieścisłości, które T. Zagórski krótko i węzłowato prostuje. Oto co pisze „Epoka" w tej sprawie:

„A więc czytamy w liście pasterskim:" „Nie utożsamiajcie akcji wysoce szlachetnej Amerykańskiego Czerwonego Krzyża i akcji wielkiego serca Amerykanina Hoovera z akcją YMCA, bo te instytucje na to się skarżą, tego sobie nie życzą". — Czyżby naprawdę Hoover się skarżył?

Na walnym zjeździe Amerykańskiej YMCA, dnia 26 października 1925 roku, rząd Stanów Zjednoczonych reprezentowany był przez dwóch delegatów, w tej liczbie przez Hoovera, który zjazd otwierał i w przemówieniu swojem wygłosił między innemi (cytujemy dosłownie): YMCA stała się jednym z potężnych czynników odnowienia duchowego... Nie narzucacie żadnej wiary, przeto umożliwiacie korzystanie z wartości moralnych i duchowych bez zrywania z narodowemi tradycjami religijnemi. Zarówno Minister Wyznań Religijnych w Polsce, jak i Patrjarchowie Obrządków Wschodnich mogą z całem zaufaniem pragnąć współpracy waszej dla dobra młodzieży... Ziszczenie się waszych nadziei, to najpoważniejsza rzecz, która winna być dokonana za życia obecnego pokolenia; co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości". — A więc Hoover się na YMCA nie skarży, ale wręcz przeciwnie, pochwala jej błogosławioną działalność, jak ona na to zasługuje. Ludzie znający rzeczywistość spostrzegą łatwo nieścisłości w liście pasterskim i zadadzą sobie pytanie, czy prawda jest tego rodzaju, że musi być maskowana? Zresztą trzeba być przekonanym, że konsekwentne przeciwstawianie się prądom ciwilizacyjnym ze strony duchowieństwa rzymskiego w Polsce najskuteczniej otworzy oczy społeczeństwu polskiemu i postawi go wobec dylematu: Albo z Rzymem przeciwko światłu i Ewangelji, albo z niemi przeciw Rzymowi.

Trzecim dokumentem jest odezwa Straży Piśmiennictwa Polskiego w sprawie pogrzebania zwłok Juljusza Słowackiego w wolnej Polsce. Polska już przed ćwierćwieczem wypowiedziała się, że wielki ten Syn Polski powinien spocząć w grobach królewskich na Wawelu. Zaprotestował przeciwko temu i zwyciężył nad wolą narodu kardynał Puzyna i kler razem z klerykalizmem polskim. Obecnie powtarza się to samo, tylko nie tak brutalnie, jak wtedy. Kler nie chce się angażować przeciw narodowi jawnie, więc agituje przeciw pogrzebaniu zwłok Słowackiego na Wawelu cicho i chyłkiem. Wielki Polak nie był dość uległym katolikiem i sprawę Narodu stawiał wyżej od polityki wyklinającego powstańców papieża Grzegorza XVI. Po stronie kleru i tradycji Puzynowych staje teraz Straż Piśmiennictwa Polskiego w odezwie o stylizacji ogromnie lichutkiej, konwencjonalnej, miernej. Jest to kompromitujące poprostu, ale klerykalizm był i będzie zawsze kompromitacją wobec cywilizacji. Prochy genjalnego poety powinny zgodnie z wolą narodu spocząć na Wawelu.

T. Gruda.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

JUBILEUSZ WARSZAWSKIEGO ZBORU EWANGELICKO-REFORMOWANEGO.

Dnia 26 i 27 marca r. b. obchodził Zbór nasz Warszawski 150-letnią rocznicę poświęcenia pierwszego swego Kościoła i zorganizowania swej Parafji. Szczegóły obchodu zawczasu zostały przez Komitet jubileuszowy ustalone, zaproszenia rozesłane i po zakończeniu ostatnich przygotowań Zbór oczekiwał z niecierpliwością nadejścia dnia uroczystego.

W sobotę dn. 26 marca uroczystości jubileuszowe rozpoczęły się nabożeństwem wstępnem o godzinie 6-ej po południu. Kościół był rzęsiście oświetlony i pięknie zielenią i krzewami cieplarnianemi udekorowany. Najpiękniejszą jednak ozdobą kościoła w dniach jubileuszowych były tłumy zborowników, które Kościół cały zapełniły. Wśród zgromadzonych witaliśmy całe zastępy gości z bratniego wyznania augsburskiego, metodystów i członków Kościoła anglikańskiego z Warszawy, a także miłych i drogich współwyznawców naszych, gości ze wszystkich nieomal Zborów ew.-reformowanych w Polsce. Szczególniej licznie przybyli członkowie Zboru naszego w Łodzi, bo wraz z członkami tamtejszego Kolegjum Kościelnego i miejscowym chórem kościelnym delegacja Zboru Łódzkiego liczyła osób kilkadziesiąt. Chór Łódzki brał czynny udział w nabożeństwach — wieczornem i jubileuszowem niedzielnem i w niemałej mierze przyczynił się do uświetnienia całej uroczystości.

Nabożeństwo sobotnie było połączone z Komunją Św. Piękny to objaw religijności naszych parafian, którzy pamiętną chwilę w życiu zborowem uczcić chcieli przez zadokumentowanie swej łączności duchowej z Chrystusem Panem, jako głową Kościoła, i braćmi i siostrami w wierze w łamaniu z nimi chleba.

Po odśpiewaniu pieśni Zboru, liturgję z przed Stołu Pańskiego odprawił Ks. Kazimierz Ostachiewicz, Pasterz Żychliński, a piękne kazanie wygłosił Ks. Ludwik Zannar, Pasterz Łódzki, na tekst: Jozue 24_{15} i Psalm 51_{12}. Po kazaniu chór Łódzki odśpiewał pieśń: „O wzywaj mię", poczem Pasterz miejscowy, Ks. Stefan Skierski, odprawił liturgję komunijną, po ukończeniu której tenże, wraz z Ks. Superintendentem W. Semadenim, udzielił Komunji Ś-ej blisko stu osobom z pośród parafian Warszawskich i przyjezdnych gości. Cała uroczystość nosiła charakter wielce podniosły i wywarła na uczestnikach głębokie wrażenie.

Nazajutrz, niedziela dn. 27/III, była dniem po długotrwałych słotach, cudnie pogodnym i ciepłym. Uroczyste nabożeństwo jubileuszowe rozpoczęło się punktualnie o godzinie 10 rano. Z chwilą gdy grono kilkunastu Ks. Ks. Pasterzy, z Najprzewielebniejszym Księdzem Generalnym Superintendentem J. Burschem na czele, wkroczyło do Kościoła, odezwały się majestatyczne

tony organu i z piersi blisko półtoratysiącznego tłumu wiernych popłynęły do stóp Najwyższego słowa znanej pieśni Karpińskiego „Kiedy ranne wstają zorze". Kościół był przepełniony i wszystkie miejsca, nietylko na dole, w głównej nawie, lecz i na balkonach, były zajęte, a jeszcze bardzo wiele osób stać musiało w przejściach. W przedniej części głównej nawy kościelnej, około Stołu Pańskiego, na kilkudziesięciu ustawionych fotelach i krzesłach, zasiedli po jednej stronie członkowie Konsystorzy: naszego i Wileńskiego Reformowanego, Kolegjów Kościelnych: naszego, augsburskiego i radomskiego augsburskiego, przedstawiciele Zborów i instytucyj kościelnych naszych i augsburskich z kraju i zaproszeni goście. Po drugiej stronie zajęli miejsca zaproszeni na uroczystość jubileuszową Ks. Ks. Pasterze wyznania ew.- augsburskiego a wśród nich także Ksiądz Narodowego Kościoła Katolickiego. Na środku Kościoła, wprost Stołu Pańskiego, zasiedli przedstawiciele Władz państwowych, którzy nas obecnością swoją zaszczycili, a mianowicie: Jego Ekscel. JW. Pan Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego — Dobrucki, Jego Ekscel. JW. Pan Minister Spraw Wewnętrznych — Generał Składkowski, JWPan Dyrektor Departamentu Wyznań — Okulicz, JWPan Komisarz Rządu — Jaroszewicz, Szef Wydziału Wyznań akatolickich Ministerstwa Spraw Wojskowych — JW. Pułkownik Łuskino i Naczelnik Wydziału w Departamencie Wyznań — JW. Głowacki.

Po odśpiewaniu pieśni wstępnej Ks. Pułkownik Kazimierz Szefer wystąpił przed Stół Pański i odprawił część liturgiczną nabożeństwa. Odśpiewanie 2-ch wierszy pieśni głównej poprzedziło przemówienie uroczyste, wygłoszone z specjalnej, obok Stołu Pańskiego ustawionej mównicy, przez Księdza Superintendenta W. Semadeniego. Mówca w godzinnej prawie mowie zobrazował stosunki wyznaniowo-religijne w dawnem Księstwie Mazowieckiem i na tem tle przedstawił dzieje powstania i późniejszego zorganizowania się Zboru naszego w Warszawie, oraz dzieje zorganizowanego już Zboru w ciągu 150-lecia. Po przemówieniu uroczystem odśpiewano jeden wiersz pieśni głównej, poczem na mównicę wstąpił Jaśnie Wielmożny Pan Prezes Konsystorza — K. Tosio, który w imieniu Synodu i Konsystorza złożył Zborowi życzenia i pozdrowienia. Ze względu na piękną i głęboką treść tego przemówienia, podajemy je w całości.

„Z powodu radosnej uroczystości dzisiejszej Synod Ewangelicko-Reformowany w Rzeczypospolitej Polskiej powziął w 1926 roku uchwałę następującą:

Uchwała 10.

Synod Ewangelicko-Reformowany w Rzeczypospolitej Polskiej roku 1926. z okazji 150-cioletniego jubileuszu założenia Zboru Ewangelicko-Reformowanego w Warszawie, śle temuż Zborowi serdeczne życzenia obfitego błogosławieństwa Bożego na dalsze lata. Oby Bóg Wszechmocny zlewać raczył szczodrze na Członków Zboru dar Ducha Świętego, oby Pan i Głowa Kościoła Zbawiciel, Jezus Chrystus, jednoczył wszystkich braci w wierze, nadziei i miłości, oby ten Zbór nasz stołeczny w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej był zawsze wzorem i przykładem dla współbraci w wierze i wzrastał na Chwałę Boga i Królestwa Pana Naszego na ziemi.

Przyjęto na posiedzeniu Synodu Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Rzeczypospolitej Polskiej dnia 15.VI 1926 roku.

(—) Prezes Synodu: *L. Błaszkowski.*

Te krótkie, proste, a tak pełne głębokiej treści życzenia składa Ci, Zborze Warszawski, Nawyższy, Naczelny Organ nasz Kościelny w dniu 150-cioletniego Twego jubileuszu.

Od chwili ugruntowania się w Ojczyźnie naszej w pierwszej połowie XVI-go stulecia wyznania ewangelicko-reformowanego, inaczej kalwińskiem zwanego. Synody nasze nieprzerwanie stały na straży nie tylko swych haseł religijnych ze szczerego, czystego Słowa Bożego, z Ewangelji Chrystusowej jedynie czerpanych, lecz i na gruncie nierozerwalnej łączności z Ojczyzną, której, zwłaszcza w okresie złotego wieku jej umysłowego, kulturalnego i politycznego rozwoju wyznanie nasze oddało w usługi całe zastępy mężów o najprzedniejszych zaletach serca i umysłu. Organ ten stał również wiernie i wytrwale na straży uczuć braterstwa i ideowej łączności ze współbraćmi w wierze, którzy, już to jako bezdomni tułacze i ofiary ciemnoty i fanatyzmu, już to dla polepszenia swego bytu materjalnego, Ojczyznę własną opuścili i na ziemiach Polski przyjazną gościnę i godziwe warunki bytu znaleźli.

Zborze Warszawski, stołeczny nasz Zborze w cudownie wskrzeszonej Ojczyźnie, nie zapominaj, że chociaż w chwili obecnej święcisz zaledwie 150-tą rocznicę poświęcenia swej pierwszej w stolicy Państwa Świątyni, chociaż Świątynię tę wraz z nieliczną już garstką epigonów po tej świetnej niegdyś tradycji dziejowej naszego wyznania budowali i współwyznawcy cudzoziemskiego pochodzenia, — Ty jednak jesteś bezsprzecznie prawnym i prawym tradycji tej spadkobiercą i stanowisz jedno z poważnych ognisk ewangelicyzmu polskiego w Ojczyźnie naszej.

Niechże więc te zasadnicze hasła, hasła przy których Synody nasze poprzez całe wieki ubiegłe stały wiernie i niewzruszenie, staną się i Twemi hasłami w dalszym Twym w stolicy Państwa życiu i rozwoju, bez względu na to, w jakich warunkach i okolicznościach praca Twa rozwijać się będzie zmuszoną.

Gdy bowiem Ewangelicyzm Polski i cały Ewangelicyzm w Polsce, bez względu na indywidualne jego odrębności wyznaniowe i ustrojowe, cechować będą: przysłowiowa prawość Hugonotów francuskich, skąpanych w potokach krwi Nocy Św. Bartłomieja, — wierność zasadom swego wyznania Braci Czeskich, tych dręczonych we własnej Ojczyźnie i wydziedziczonych z mienia banitów, — pojednawczy duch i szeroki pogląd na podstawowe zasady Ewangelicyzmu reformatora naszego, Jana Łaskiego, — zwłaszcza zaś dopóki przez ten Ewangelicyzm nie będą zapomniane lub zlekceważone słowa Naszego Pana i Zbawiciela: „Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli uczynki wasze i chwalili Ojca waszego, który jest w niebiesiech",— dopóty pewni być możemy, że żadne środki przemocy, obłudy, fałszu lub ciemnoty nie zmogą Prawdy Bożej, a więc, że i Polski Ewangelicyzm znajdzie pole dla swego bytu, wzrostu i rozwoju w umiłowanej Ojczyźnie naszej. Przyczyń się do tego i Ty, ukochany Zborze Warszawski".

Warszawa, dnia 27 marca 1927 r.

Prezes i Członkowie Konsystorza Ew. R. R. P.

Po tem pięknem przemówieniu pana Prezesa Konsystorza, połączone chóry Kościelne Zborów naszego i augsburskiego pod batutą p. Dyrektora Heintzego, odśpiewały uroczystą kantatę — Psalm Gounod'a.

Nastąpiły wreszcie przemówienia z życzeniami od Duchowieństwa i przedstawicieli Zborów i Instytucyj kościelno-wyznaniowych. Pierwszy przemówił Najprzewielebniejszy Ksiądz Generalny Superintendent Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego J. Bursche w imieniu Kościoła Ew.-Augsburskiego i Duchowieństwa tegoż wyznania. Głęboko przemyślane i z wielkim zapałem wypowiedziane przemówienie swoje oparł mówca na słowach Zbawiciela: „ogień na ziemię rzucić przyszedłem i jakżebym chciał, żeby się już rozpalił" (Ew. Łuk. 12—49). Następnie przemawiał w imieniu stołecznego Zboru ew-augsburskiego Prezes Kolegjum tegoż Zboru — pan Evert, wręczając pięknie oprawny w tekę adres z sylwetką Kościoła ew.-augsburskiego i podpisami starszyzny Zborowej i całego szeregu zborowników. Adres brzmi w sposób następujący:

„Jeden jest Bóg i jeden Pośrednik, Jedno
powołanie
Wasze i nasze, jeden ból i jeden cel.
Czego sami pragniemy — tego życzymy i Wam:
Ojczyzny dźwigać słodki trud,
wiarę zachować do końca.
Przez Chrysta Pana w nowej służbie,
By nowej chwały wzeszły zorze —
Niech Wam Bóg pomoże.

W dalszym ciągu przemawiali pan Prezydent Herman Iżycki, odczytując list z życzeniami od Ks. Gen. Superintendenta M. Jastrzębskiego, który z powodu choroby nie mógł przybyć osobiście, Ks. Senior Haenisch w imieniu Zborów Jednoty ewang.-reformowanej Wielkopolskiej i Konsystorza ewang.-unijnego Poznańskiego, Ks. prof. Szeruda w imieniu Związku Zborów i Towarzystw ewangelickich, Ks. Henryk Tochterman w imieniu Zboru ewang.-augsburskiego w Radomiu, Ks. F. Gloech w imieniu Związku Księży Kościoła Ew. Augs., ks. Piechociński w imieniu Kościoła Narodowego i wreszcie wszyscy Księża nasi w imieniu Zborów, w których jako duszpasterze pracują.

Po ukończeniu przemówień Łódzki chór kościelny odśpiewał pieśń „Ku Tobie Boże mój", poczem Ks. Skierski wstąpił na ambonę, aby wygłosić kazanie okolicznościowe na podstawie słów apostolskich: „ale przy pomocy Bożej jeszcze aż do tego dnia stoję, świadcząc przed małym i wielkim i nie mówiąc nic innego, jak tylko to, co powiedzieli prorocy i Mojżesz, że się stać ma, że Chrystus ma cierpieć, że pierwszy powstawszy z umarłych ma zwiastować światłość ludowi i poganom". (Dzieje Ap. 26 — 22.23). Mówca przedewszystkiem w słowach swych dał wyraz radosnej wdzięczności Zboru całego ku Bogu za pomoc Jego i błogosławieństwo w ciągu ubiegłych lat 150-iu, następnie powitał w imieniu Zboru dostojnych gości i dziękował za zaszczycenie nas obecnością swoją: przedstawicielom Władz krajowych, reprezentantom pokrewnych nam wyznań ewangelickich, oraz współwyznawcom naszym ze Zborów do naszej Jednoty kościelnej należących, a także współwyznawcom naszym i współdomownikom wiary z innych organizacyj kościelnych, a przedewszystkiem z Jednoty Wileńskiej i Wielkopolskiej. Rozwijając myśli podstawowe tekstu biblijnego, mówca zaznaczył z naciskiem, jak to przodkowie nasi w Kościele naszym wogóle, a w Zborze Warszawskim w szczególności, świadczyli zawsze wiernie o zbawiennej prawdzie Ewangelji Chrystusa Pana i wierni byli obowiązkom swoim jako obywatele kraju i dzieci jednej Matki — Ojczyzny. Z tego my, ich potomkowie, dumni zaiste być możemy, lecz nie wolno nam powoływać się tylko na zasugi przodków naszych, przeciwnie myśmy, jako spadkobiercy ich ideałów duchowych, społecznych i narodowych, winni być i naśladowcami ich w wierze, wierności prawdzie Ewangelji, w cierpieniu dla prawdy, w wytrwaniu w walce o zwycięstwo prawdy, w miłości dobra i piękna, miłości ojczyzny i w poświęcaniu się dla jej szczęścia i wielkości. Nawiązując do życzeń, składanych Zborowi w dniu jego jubileuszu, mówca stwierdza, że życzenia te odpowiadają w zupełności serdecznym pragnieniom i dążeniom wszystkich członków Zboru Warszawskiego, i kończy ślubowaniem w imieniu tychże współzborowników swoich, że „stać oni pragną na najświętszej wierze swojej, dążyć będą do stawania się światłem w Chrystusie, nieść będą braciom miłość czynną, oddać chcą Ojczyźnie najlepsze swe siły, najżywsze uczucia serc, a w razie potrzeby mienie swe i życie! Tak nam dopomóż Bóg!"

Po kazaniu nastąpiło krótkie intermezzo muzyczne, poczem Ks. Superintendent Semadeni dopełnił liturgicznego zakończenia nabożeństwa. Nabożeństwo trwało godzin 4, pomimo to jednak wszyscy przybyli do Kościoła wytrwali do końca i rozchodzili się pod silnem i głębokiem wrażeniem jakie na nich uroczystość kościelna wywarła.

Po południu w sali Zborowej Kolegjum Kościelne podejmowało podwieczorkiem przyjezdnych gości, zwłaszcza członków chórów kościelnych. W pięknie udekorowanej sali spędzono bardzo mile kilka godzin na zebraniu towarzyskiem, urozmaiconem deklamacjami, solowemi popisami muzycznemi i występami chórów.

Wieczorem, o godzinie 9-ej, w salach Stowarzyszenia Techników zgromadzili się zaproszeni przez Zbór reprezentanci Władz państwowych i wybitniejsze osobistości ze świata kościelnego i towarzyskiego. Przy stołach biesiadnych zasiadło sto kilkadziesiąt osób, które w miłej pogawędce towarzyskiej spędziły kilka godzin razem. Wygłoszono kilka toastów — przemówień oficjalnych, z których wyróżniły się: przemówienie JW. Prezesa Kolegjum naszego, pana Emila Świdy, w pięknej formie i jeszcze piękniejszym

językiem wygłoszone, a zaznaczające przyczyny upadku w Polsce pięknego dzieła Reformacji i podające program działalności naszej kościelno-społecznej na przyszłość, oraz przemówienie Księdza Generalnego Superintendenta Burschego, nawołujące do harmonji w spółżyciu ze sobą ewangelików polskich różnych wyznań i kierunków. Ponieważ mowa pana Prezesa Świdy wielce w treści swej była doniosłą i pouczającą, mieliśmy zamiar podać ją w „Jednocie" w obszernem streszczeniu. Niestety z powodów od nas niezależnych zamiaru tego uskutecznić nie byliśmy jeszcze w stanie, mamy jednak nadzieję, że w najbliższym czasie uczynić to będziemy mogli.

Cały obchód jubileuszowy pozostawił w pamięci udział w nim biorących nadzwyczajnie dodatnie i miłe wrażenie. Przeżyliśmy w Kościele chwile zaiste podniosłe, uprzytomniliśmy sobie wyraźnie, czem ewangelicyzm był w Polsce i czem może się stać jeszcze w Ojczyźnie naszej w przyszłości, jakie na nim ciążą obowiązki i do jakich jest powołany zadań. Jasnem dla nas było, że nie liczba stanowi o sile, ale wewnętrzna wartość duchowa i moralna, zapał wiary i umiłowanie ideału. Oby Bóg miłosierny, Rządca świata, dozwolić raczył, aby Zbór nasz — Jubilat — i cały Kościół nasz i przez ten obchód jubileuszowy pobudzony i zachęcony został do usilnej pracy w dążeniu do wewnętrznej swej konsolidacji, do pogłębiania w środowisku swojem zasad wiary, na czystej opartej Ewangelji, udoskonalania swego życia i podnoszenia wartości swej duchowej i moralnej — a to wszystko Bogu Najwyższemu na cześć i chwałę, a Ojczyźnie ukochanej na pożytek i sławę!

S.

Od Administracji.

Szanownych czytelników i odbiorców pisma naszego upraszamy o wpłacanie należnej nam prenumeraty. Wpłacać ją można nie tylko przy użyciu blankietów nadawczych P. K. O., lecz i przekazem pocztowym, ale tylko adresując na Pocztową Kasę Oszczędności w Warszawie — konto „Jednoty" Nr 12423.

Przesyłka przekazem pocztowym, adresowanym wprost do Administracji pisma naszego, naraża nas na zbyteczne koszty i niepotrzebną stratę czasu.

Pismo wysyłamy WSZYSTKIM Szanownym odbiorcom naszym regularnie. Jeśli kto pisma regularnie nie otrzymuje, dzieje się to z winy poczty, i w takich wypadkach prosimy nas o tem zawiadamiać, abyśmy mogli gdzie należy reklamować.

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc maj 1927 r.

nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11·15 przedpoł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Niedziela, dnia 1.V (2 N. po Wielkanocy) . . . . . — Ks. W. Semadeni.
2. Wtorek, dnia 3.V (Święto Narodowe) o godz. *9 rano* . . . . . — Ks. St. Skierski.
3. Niedziela, dnia 8.V (3 N. po Wielkanocy) . . . . . — Ks. St. Skierski.
4. Niedziela, dnia 15.V (4 N. po Wielkanocy)
   a) naboż. w języku francuskim Kom. Ś-tą o godz. *9½ rano* . . . . — Ks. W. Semadeni.
   b) „ „ „ polskim o godz. *11¼ przed poł.* . . . . . — Ks. St. Skierski.
5. Niedziela, dnia 22.V (5 N. po Wielkanocy z Kom. Ś-tą) . . . . . — Ks. W. Semadeni.
6. Czwartek, dnia 26.V (Wniebowstąpienie Pańskie) . . . . . — Ks. W. Semadeni.
7. Niedziela, dnia 29.V (6 N. po Wielkanocy) . . . . . — Ks. St. Skierski.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł 150; II str. — 100; III str. — zł 75; ½ str. — zł 75, 50, 35; ¼ str. — zł 40 30, 20, i ⅛ str. bez względu na stronę — zł 20.

STRONY ZWYKŁE: cała strona — zł 100; ½ str. — 50; ¼ str. — 30; ⅛ — zł 20. — Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Drukarnia M. S. Wojsk., Przejazd 10.

DRUKARNIA

MINISTERSTWA SPRAW WOJSKOWYCH

WARSZAWA, PRZEJAZD 10

TELEFONY: 51-25, 272-51, 282-66.

DZIAŁY:

DRUKARNIA bogato zaopatrzona w czcionki. Maszyny pośpieszne. — Maszyna rotacyjna. — Stereotypja. — Linotypy.

▽▽▽▽

LITOGRAFJA: Maszyny najnowszego systemu do formatu 90×125. — Materjał pomocniczy.

▽▽▽▽

INTROLIGATORNIA: Najnowsze maszyny do falcowania, szycia nićmi i drutem. Duży wybór materjałów i ozdób do najwykwintniejszych robót w zakres introligatorstwa wchodzących.

▽▽▽▽

WARSZTATY MECHANICZNE: Urządzenia pierwszorzędne. Maszyny precyzyjne. Specjalna maszyna do ostrzenia noży introligatorskich do długości 1.60 m.

WYKONANIE WSZELKICH ROBÓT Z WSZYSTKICH DZIAŁÓW PIERWSZORZĘDNE I SZYBKIE.